

Poezja, czyli kłamstwo konieczne

(Dokończenie ze strony 11)

sapiens, który uważa, że jeśli czegoś nie rozumie, to jest to złe i głupie i bez sensu. Przemyślałem. I wcale nie jestem pewien, czy i dziś zachowałbym się inaczej. A przecież mogłem...

– Waldku, Bogdanie (wciąż używam wołacza), czy jak ci tam! Przecież byłeś kiedyś na pogrzebie i słyszałeś, co ksiądz mówi nad mogiłą: z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Ale księdzu nie chodzi przecież o proch strzelniczy. No więc – jak ci tam! – mój wiersz jest też właśnie o tym.

I myślę, że nie ma w nim kłamstwa.

No, dobrze. A teraz nie oddzielając prawdy od kłamstwa, spróbujmy udowodnić, że kłamstwo w poezji jest niezbędne. Trzeba – przeplatając te dwie opozycje – przekonać, że tylko z ich splotu może powstać wiersz. Muszę, niestety, swój wiersz znów zacytować w całości.

Z powodu depeszy

**W telewizji powiedzieli, że już wkrótce
poczta zaniecha świadczenia
telegraficznych usług.**

Ach, jaki ból...

*Już nigdy nie przeczytam w małych urzędach
pocztowych*

Tych wzorów pachnących rezedą i naftaliną:

– **Przyjeżdżam wtorek. Wyślijcie konie na stację. Janek.**

– **Dziadek zmarł. Pogrzeb piątek. Nieutulona babcia.**

*Nie jestem Jankiem. Ale tyle razy z nim
jechałem ze stacji. Przez piasek, kamienie
I starożytne kałuże.*

*Zapadał złotawy zmierzch. Skrzypiała bryczka
I wierny Józef. Zza rowu
Krwawą źrenica błyskał jeź albo diabeł Rokita,
A z odległej wioski dolatywał
Dziki chichot głupiej Kryśki.
Dziś we wsiach takich głupich nie uświadczysz.
Wszystkie na urzędach.*

*Jestem dziadkiem. Ale nie ma babci,
Utulonej, a coś dopiero nieutulonej.
I nie pogrzebano mnie w piątek.
A szkoda. Sobota to taki dobry dzień
Na klina po konsolacji.*

*Nikt nie zachowa w zapomnianej komóдке
Tych telegramów w czarnej ramce.
Nie ma depesz. Skończyły się przede mną.*

*I kto by pomyślał,
Że jesteście trwalsi od papieru!*

*Może jakaś litościwa dusza roześle kilka
SMSów:*

**Marek zmarł. Pogrzeb poniedziałek.
Przyjeżdźcie na lysym pagazie.**

*A jednak, chłopcy, wynajmijcie bryczkę.
Zabierzcie puszkę ze mną jadąc gdzieś za miasto.*

*Upijcie się, proszę, choć to poniedziałek.
Wysypcie mnie mimochodem po drodze,
Na jakimś wygodnym wyboju.*

*Najlepiej tam, gdzie kwitnie
Fioletowy łubin.*

sierpień, 2002

Tak było. Usłyszałem w telewizji taki właśnie komunikat. Nie sprawdziłem, czy tę zapowiedź zrealizowano, ale bardzo mnie ona poruszyła, odebrałem ją, jako koniec pewnej epoki. I wróciło wspomnienie: jeszcze we wczesnych latach pięćdziesiątych w niewielkich, wiejskich urzędach pocztowych widniały takie właśnie wzory pisanego telegramu. Prawdopodobnie zostały przeniesione z międzywojnia, kiedy naród mniej pisał – bo nie umiał, a potem, we wstępnym okresie tzw. PRL-u, dopiero się uczył. Wyobrażam sobie, że przed wojną ktoś z miasta zawiadamiał o swoim przybyciu krewnych mieszkających na wsi, w ubogim dworku. Nie określał godziny przyjazdu, bo pociąg w tej okolicy kursował raz na dobę. A te konie wysyłane na stację nie były osiodłane, a zaprzężone do bryczki. I, jeśli rodzina była zajęta np. żniwami, to pojazdem kierował – lokaj? stajenny? Był to Józek, albo Jasio, albo Wacek. I jemu przypadał zaszczyt wtania przybycia z wielkiego świata i poinformowanie go, co się w ostatnich latach u gospodarzy zdarzyło. Dziś powiedziano by: co miało miejsce.

Skojarzyła mi się ta sytuacja z klimatem Rittnera – m.in. ze sztuką „W małym dworku”. Próbowałem się w ten klimat wpisać złociстым wieczorem, bryczką skrzypiącą (bo właściciele nie byli zbyt bogaci) i Józefem, który też skrzypiał (bo był stary). I jeszcze jedna prawda: w dzieciństwie widziałem aż dwie głupie Kryśki. A przecież nie były one głupie, były po prostu obłąkane. Jedna z nich latała po wsi krzycząc, płacząc lub wybuchając śmiechem, mniejszą potrzebę załatwiała bez przykucania. Takie osoby otoczenie traktowało z pogardą, ale jednocześnie z rodzajem lęku, może uważano, że są na swój sposób nawiedzone. Przeniesienie takiej postaci w czasy współczesne było z mojej strony podłągą złośliwością wynikającą z przykrych doświadczeń z urzędami różnej rangi.

Ten wiersz napisałem dwadzieścia lat temu, kiedy coraz częściej zaczynałem myśleć o opuszczeniu tego łez padołu. Okazało się jednak, że prawie wszyscy, których zobowiązałem do rozsypania moich prochów, już nie żyją. A ja tak. Z pewnym poczuciem niestosowności. Pomyślałem też wtedy, że

wolałbym, aby o tym ostatecznym fakcie powiadomiono świat staroświecką depeszą.

I jeszcze jedno: przy leśnych drogach mojej ulubionej Suwalszczyzny, w czerwcu, rośnie piękny kwiat - fioletowy łubin. Jest bardzo nietrwały, umiera w pół godziny między zerwania, a umieszczenia go w wazonie.

Jeśli jest w tym jakaś metafora, to na prawdę nie wiem jaka.

Szczerze podziwiam poetów, którzy chwycają się wszystkimi swoimi wierszami i nawet poetyckie pierwociny czytają z rozczuleniem. A przecież nawet tym największym zdarzyły się utwory chybione. Niektóre zostały przez autorów trafnie pominięte, niepublikowane, ale ich spadkobiercy lub badacze (szperacze?) triumfalnie je ukazują światu.

Ukazało się chyba 30 moich książek poetyckich. O debiucie wolę nie wspominać, źle myślę też o czwartym tomiku wierszy. Wierszom z innych zbiorów dziwię się, żyzmam, wzruszam ramionami: po co napisałem coś takiego? I, co ważniejsze, po co to publikowałem? Ale za chwilę się pocieszam: no tak, wiersz lichy, ale zaraz obok jest inny, udany. Nie o tym jednak.

Dziś, po latach, wiem, że nie wydałbym przynajmniej dwóch innych tomików – nie będę wymieniał ich tytułów. Dlaczego podjąłbym taką zubożającą decyzję? Bo za mało w nich kłamałem. Powodowany namiętnym uczuciem pisałem wiersze otwarte, łatwe do rozszyfrowania, z niemal dokładnie wskazanym adresatem, wiersze bezradne i bezbronne, pozbawione kamuflażu.

A poza tym: miłość na naszej szerokości geograficznej jest przywilejem ludzi młodych, najwyżej czterdziestoletnich. Po pięćdziesiątce jest rodzajem zwyrodnienia, zboczenia, Ludzie bardziej tolerancyjni powiedzą: nie wypada.

Poci kłamią na różne sposoby.

Ubierają swoje przeżycia w kostiumy z dawnych epok, udają, że ich uczucie zdarzyło się komuś innemu, kilkaset lat temu.

Przenoszą je (to rzadsze) w świat fantastyki.

Zapisują swoje uczucia w drugiej i trzeciej osobie liczby pojedynczej.

Jeśli adresat jest tej samej płci, to piszą wiersze bezosobowo, tak, aby nie był to rodzaj ani męski, ani żeński, ani, tym bardziej, nijaki. Choć wiersze wcale nijakie nie są.

Przenoszą aktualne uczucia w młodszy czas przeszłości, udają, że to, co dzieje się teraz, wywodzi się ze wspomnienia.

Poddani małżeńskiemu kontroli bezlitośnie kpią z miłosnych pomyłek.

Zmieniają imiona adresatów/ adresatek.

Uciekają się w biologię albo mistykę. Może nawet metafizykę.

I tak dalej, i tak dalej.

Poezja kłamie. I dlatego jest poezją.

Marek Wawrzekiewicz